

Matka Renata Cieślak -

niezwykła historia dąbrowskiej zakonnicy

"Urodziłam się 27 lipca 1929 roku w Stanisławowie, niedaleko Lwowa..." – tymi słowami zaczyna się niezwykła opowieść. Mówi o miłości do Boga i Ojczyzny, tragicznych losach Polski i Polaków zesłanych w głąb ZSRR rodzinnych więzach i powołaniu, które okazało się być od nich silniejsze. Losy matki Renaty Cieślak, jednej z pasjonistek z klasztoru przy kościele Matki Bożej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej, która w ubiegłym roku świętowała 60-lecie ślubów zakonnych, to pasjonująca historia, w której centrum znajduje się – łatwiej lub mniej zauważalny – Jezus Chrystus.



Starsza zakonnica, po chwili modlitwy w klasztornej kaplicy, siada przy stole i spogląda na dyktafon. Kiedy milczy, jej oblicze wydaje się surowe, choć jednocześnie czuć serdeczną gościnność. Gdy otwiera usta i zaczyna mówić w oczach zapala się błysk, którego niejeden młody mógłby pozazdrościć. Opowieść płynie swobodnie – najeżona datami, nazwiskami i nazwami miejscowości, a nawet ulic – spójna, logiczna, mimo upływu lat uporządkowana, choć przesycona emocjami. Matka opowiada o dzieciństwie, młodości w ZSRR, pracy w kołchozie, zdobywaniu wykształcenia, rodzinnych konfliktach, jakie wywołała jej decyzja o wstąpieniu do zakonu. I choć opowieść wiedzie nas przez znaczną część Polski, Ukrainę i Kazachstan jesteśmy u siebie – tuż za ścianą duchowe serce Zagłębia – bazylika NMP Anielskiej, z którą zżyła się przez te wszystkie lata.



Rodzina młodej Teresy (zakonne imię – Renata – przyjmie 26 lat później) to 6 osób – poza nią jeszcze mama Julia, rodowita lwowianka, tata Andrzej – zawodowy żołnierz, starszy brat Jan oraz młodsza siostra Irena i urodzony w 1935 roku brat Marian. Mieszkają w domu przy ulicy Zosinej Woli w Stanisławowie. Naukę, normalne życie, plany przerywa w 1939 roku wojna – tabuny wojsk przetaczające się przez miasto, bombardowania, działa przeciwlotnicze. Groza tych dwóch dni – najpierw pierwszego, następnie siedemnastego września. W ostatniej chwili ojciec decyduje się nie wyjeżdżać za granicę – zbyt mocno przeżywa rozstanie z rodziną, w uszach wciąż słyszy słowa małego Marianka "Ja tatusia nie pusce!". Do domu

jednak nie wrócił – został internowany w koszarach, następnie osadzony w więzieniu.

"13 kwietnia 1940 roku nad ranem (było jeszcze ciemno), obudziło nas głośnie pukanie i szarpanie drzwi wejściowych do domu. Do mieszkania wtargnęli rosyjscy żołnierze uzbrojeni w karabiny, z czerwonymi gwiazdkami na czapkach. Odczytali dekret o wysiedleniu i wywiezieniu w głąb Rosji. Matka zemdląła. Dzieci zaczęły płakać" – wspomina po latach. W tłumie innych rodzin pojechali towarowym wagonem na spotkanie nieznanego. Jak sama podkreśla była zbyt młoda, by traktować te doświadczenia jako traumatyczne. Choć przez 17 dni podróży dokuczał brak świeżego powietrza, głód i pragnienie, przede wszystkim była to przygoda, a obecność najbliższych dawała poczucie bezpieczeństwa.

Celem podróży okazał się być Kazachstan – położona wśród stepów wioska Kazanka, gdzie dokwaterowano ich do miejscowej rodziny mieszkającej w domu z plastrów ziemi, bez podłogi, z klepiskiem smarowanym przez gospodynię dwa razy w tygodniu ciepłym krowim nawozem. "Warunki były bardzo trudne, zachorowałam na szkorbut, powszechne były wszy i pluskwy, jednak miejscowi byli dla nas bardzo dobrzy" – zaznacza.

Następnie rodzinie umożliwiono przeniesienie się do większej miejscowości – Presnogorkowki. Warunki nieco się poprawiły – brakowało tylko wiadomości o ojcu. "Zrobiliśmy ołtarzyk. Był na nim obrazek Matki Bożej Łaskawej ze Stanisławowa i inne, a między nimi było też zdjęcie tatusia. Zbieraliśmy kwiatki i inne ozdobne roślinki, razem z mamusią klękaliśmy i modliliśmy się o powrót ojca" – czytamy w spisanych przez zakonnice wspomnieniach.

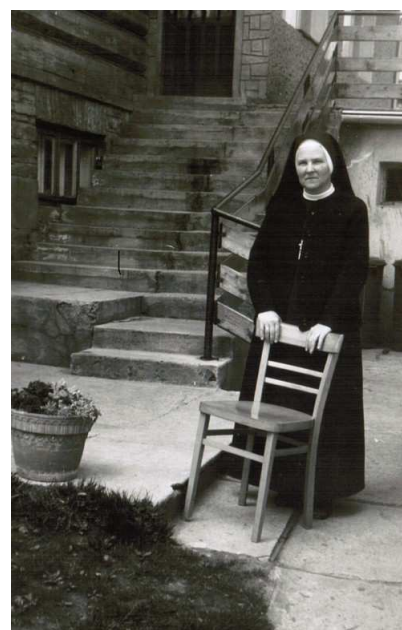
Okazało się, że dzięki opatrnościowej pomyłce jednego z oficerów ojciec uniknął Katynia – doczekał zwolnienia z obozu, gdzie ciężko pracował przy wyrębie lasu. Kiedy doszło do porozumienia rządu londyńskiego ze Stalinem ojciec postanowił odnaleźć rodzinę. Radości przy powitaniu nie było końca. Po podratowaniu jego zdrowia możliwa była kolejna przeprowadzka – do Woskrysenki, gdzie cała rodzina pracowała w kołchozie. Jednak przyszło kolejne rozstanie – powołanie ojca do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Wojna się kończy. 13 kwietnia 1946 roku rodzina (ciągle bez wieści o ojcu) wraca do Polski. "Nie przeżyłam tragizmu – ja się jeszcze wtedy życiem bawiłam..." – opowiada Matka Renata ze śmiechem wspominając prowadzenie traktora w kołchozie, jazdę konną, bronowanie i jazdę w krowim zaprzęgu. Warunki powrotu były zdecydowanie lepsze – "wracaliśmy po latach tułaczki i cierpień jako ludzie wolni. Po przekroczeniu granicy witaliśmy naszą ukochaną polską ziemię".

Zatrzymali się u rodziny ojca w Kutnie. Tutaj, po przyjeździe ojca, cała rodzina się spotkała. Trzeba było odnaleźć się w nowej rzeczywistości, porzucić nabyte przyzwyczajenia i przyjąć wymagania codzienności. Trzeba było wrócić do szkoły odrabiając zaległości z 6 lat – najpierw na miejscu, następnie w liceum w Łodzi. Tu przyszła myśl o powołaniu do życia zakonnego. "Szybko te myśli odrzuciłam! Chciałam studiować chemię, byłam wybredna w ubieraniu się, lubiłam godzime rozrywki – taniec, teatr. Wśród moich kolegów byli tacy, którzy mieli wobec mnie poważne zamiary" – wspomina. Po latach myśl wróciła. "Bardzo modliłam się o rozeznanie powołania, ale nigdy nikomu o tym nie mówiłam – ani rodzicom, ani spowiednikowi" – dodaje.

Decyzja, którą podjęła, okazała się być nieodwołalna. Wybór zgromadzenia także nie mógł być inny – "pociągała mnie duchowość pasyjna, lubiłam odmawiać bolesne części różańca, w tym zakonie była też moja ciotka, siostra Eugenia".

Nie potrafił jej zmienić nawet sprzeciw ukochanych rodziców – pójście do klasztoru to niemal ucieczka z domu. Wola rodziców była nieprzejeżdżalna – wyrażał ją przesłany do klasztoru list ze słowami "na łzy rodziców i ich prośby byłaś twarda i nieugięta jak prokurator czy sędzia. Co chciałaś, to dokonałaś". Do domu przyjechała tuż przed obłóczniami z powodu ciężkiej choroby matki.



"Musisz zostać!" – kategorycznie stwierdził ojciec. "Jeżeli nie wrócisz zapomnij o nas, my o tobie też!" – dodał. Sugestia mamy była jednak inna – "Jeśli zrobiłaś już pierwszy krok, nie wracaj" – usłyszała z jej ust. "Nie pozostało mi nic innego, tylko łyż. Jednak wróciłam do klasztoru" – opowiada. "Zdażyłam jeszcze w habicie odwiedzić mamę na dwa miesiące przed śmiercią. Jej pogrzeb był kolejną okazją dla taty, aby domagać się mojego powrotu. Powtarzał to aż do ślubów wieczystych, które złożyłam w 1960 roku" – wspomina. "Byłam bardzo zżyta z rodzicami. To był pierwszy krok nieposłuszeństwa. Kosztował mnie on bardzo wiele. Ale wołanie Jezusa "Pójdź za mną" było silniejsze od więzów miłości ojca i matki, siostry i brata. To, że zdecydowałam się im sprzeciwić to wielka łaska i wola Boga" – podkreśla.

Koleje życia zakonnego skierowały ją na rok do katechizowania w Dąbrowie Górniczej, następnie na studia teologiczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i posługę mistrzyni nowicjatu przez 11 lat. Przez 6 lat Matka Renata pełniła funkcję Matki Generalnej Zgromadzenia Sióstr Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Po tym okresie, w 1981 roku, przyjechała do Dąbrowy Górniczej. Pracowała w kancelarii parafialnej, prowadziła też wakacyjne spotkania junioratu dla młodych zakonnicek. I ciągle pracuje na rzecz klasztoru – prowadzi kancelarię domową, wspomaga osoby zakonne i świeckie radą, rozmową i modlitwą. Jest aktywna, korzysta z telefonu komórkowego, tabletu i internetu.

Niczym Chrystus – jej Mistrz i Oblubieniec, oddaje codziennie swoje życie dla dobra bliźnich. Obyśmy mogli się cieszyć z tak silnych i wiernych powołań z naszej diecezji!

